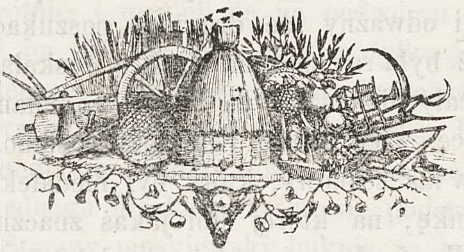
Tom VIII. Nr. 14.

11. Maja. 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



# DZWONEK

## PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

# Komorek,

## zacny kmieć, który został kapitanem polskim.

Najpierw trzeba wam wiedzieć, że mój miły tatuś sługiwali za młodu wojskowo, zaś temu już kupa lat będzie, bo to jeszcze za czasów Napoleona, kiedy tenże przyszedł ratować Polaków a bić Moskali. Otóż byli mój tatuś wtedy w polskiem wojsku i znali pewnego wojaka Komorka, o którym tak zawsze rozpowiadali nam dla dobrego przykładu.

— Pamiętajcie zawsze moje dziatki, że u Polaków i w polskiem wojsku była zawsze równość, i że dla wszystkich były jednakie prawa. Człek zacny choć najuboższy i najpośledniejszego rodu mógł zostać największym panem, byle jeno dobrze służył krajowi i ogniście kochał ojczyznę polską. Dlategoto jest bardzo wiele przykładów, iż ludzie biedni, prości kmiecie wychodzili w Polsce na Panów za czasów dawniejszych, a rząd polski i królowie jeno dopomagali im do tego. Inszych przykładów ja wam nie będę opowiadał, jeno o takim, który na własne oczy widziałem, zaś tak wszystko było.

Kiedyto w Polsce była z Moskalami okrótna wojna za cesarza Napoleona, służył w jednej kompanii polskiego wojska pewien młody żołnierz Komorek, syn kmiecia prostego, ale chłop silny i już taki odważny, że drugiego poszukać było w całym batalionie. Otóż była raz znaczna bitwa z Moskalami koło jednego miasta przez cały dzień, a po bitwie rozesłano żołnierzy po furaże na okolicę, więc także i Komorka posłano. Idzie on sobie wprost drogą w las sosnowy, który był niedaleko, a w tym lesie znachodzi polankę, na której stoi jakaś znaczniejsza zagroda, bo i chata wielka i obora i stajnie, a dalej gumno ze stodołą i brogami. Zaś wszystko byłoto opuszczone, i widać ludziska pochowali się gdzieindziej, i zagroda została na łasce Bożej, bo jeno pies stary leżał przed wrotami, i więcej ani żywej duszy widać nie było.

Już wieczorem nadchodzi do tej zagrody Komorek, rad bardzo iż nasi dzisiaj bitwę wygrali, więc śpiewał sobie wesoło i szedł raźno. Kiedy już był blisko chaty, usłyszał tentent koni z drugiej strony, więc zaraz pomiarkował, że to będą Moskale. Kusa rada — myśli sobie Komorek, ale iż był chłop odważny, nie zaczął uciekać jak tchórz, jeno postanowił bronić się do ostatniego. Skoczył więc do podwórza, zamknął wrota, zatoczył pod nie parę popsutych wozów z pod szopy, nabił ostro karabin, a potem przyczaił się z bagnetem pod parkan.

Zeszedł już był xiężyc, a Komorek ujrzał przy jego świetle, że nadjeżdża ze dwudziestu Moskali na koniach. Kiedy byli blisko chaty, wysłał starszy dwóch ludzi, aby ją obejrzeli. Podjadą oni pod wrota, zliżą z koni, i już chcieli wejść na podwórze, kiedy Komorek zapyta z za parkanu: *kto idzie?* Obaj Moskale chwycą za pistolety, i *hrym* w ono miejsce, gdzie stał Komorek. Kule przeleciały nad głową, a Komorek nachyli się z za parkanu i jakci kolnie jednego a potem drugiego Moskalucha bagnetem, tak obaj jak barany upadną na ziemię zabici. Skoczył wnet Komorek z parkanu nazad w podwórze i patrzy, aż tu cały oddział Moskali wali na niego. Stanął więc pod jabłonią, przymierzył karabin i prościuteńko do Moskala *hrym*, a ten już także leży na ziemi.

Tak zabił już trzech Moskali, a w tej chwili ściemniło się na dworze choć oko wykol. Tego chciał Komorek, bo Moskale zlękli się okrótnie, i myśleli że na podwórzu Bóg wie ilu jest Polaków. Ani im się nie śniło, iż tam tylko jeden żołnierz tak się broni walecznie. Otóż zastanowią się trochę, a potem znowu zakomenderował starszy do ataku. Tymczasem Komorek na czworakach przysunął się między wozy pod bramę, i palnął z karabina znowu jednego Moskala, który się podsunął pod wrota aby je wywalić. Starszy moskiewski huknie na to: ognia! i kilkanaście strzałów poleciało w podwórze, a żaden Komorkowi ani włosa z głowy nie utrącił. Czekają Moskale co z tego będzie, a Komorek siedzi sobie między wozami cichutko i ani mruknie. Wtedy Moskale pozłazili z koni, i krzycząc: *hurra!* zaczną szturmować do wrót. Komorek znowu palnął z karabina i piąty Moskal upadł na ziemię. Ale Moskale już się rozjedli, i z całych sił szturmują do bramy. Komorek opędza się im jeno bagnetem, i choć ranił niejednego, to i sam także dostał po skórze, bo tam szło na niego kilkunastu ludzi. Takci całą godzinę bili się ze sobą, i biedny Komorek aż upadał ze zmęczenia i z ran, które go okrótnie bolały. Myśli on sobie: no już mi tu pewnie zginąć przyjdzie, ale im się nie dam za życia, niech co chce będzie.

Kiedy tak Komorek pomyślał i dalej chciał się bronić Moskalom, patrzy aż ci skaczą czemprędzej na konie i poczną uciekać okrótnie. Chciał więc zobaczyć Komorek co się stało, i wybiegł z pod wrót, ale jeno stanął pod drzewem i aż omdlał trochę ze zmęczenia i bólu, a ruszyć się nie mógł. Tymczasem nadjechało mnóstwo oficerów polskich i francuskich żołnierzy, a na samym przodzie sławny jeden jenerał polski. Patrzą się, leży pięć trupów, i kilku rannych Moskali tarza się po piasku, a pod drzewem stoi jeden żołnierz polski, pyta więc jenerał Komorka:

— Kolego! a toście się dzielnie bronili; wieluż was tu jest i gdzie twoi towarzysze?

Usłyszawszy to wyprostował się Komorek, przyłożył rękę do kaszkietu i odpowiedział:

— Ja sam tylko jestem, szedłem za furażem, napadło mnie ze dwudziestu konnicy, toć się rad nierad musiałem i bronić.

— A jak się nazywasz? — spytał znowu jenerał.

— Komorek — odpowiedział nasz zuch.

Wszyscy nie mogli się nadziwować jego odwadze i męztwu, a jenerał podał mu rękę, uścisnął go i rzekł:

— Będę pamiętał o tobie, ale widzę żeś mocno ranny i osłabiony, więc spocznij sobie.

Potem kazał jednemu oficerowi, aby wziął silną straż i miał staranie o Komorku i rannych Moskalach, sam zaś z resztą pojechał nazad.

Odwieziono Komorka do obozu, wyleczyli go doktorowie, a skoro wyzdrowiał, uczynił go jenerał podporucznikiem, to jest takim starszym jak kapral u Niemców.

Od tego czasu Komorek ciągle był takim walecznym, więc coraz starszym go robili. Został był oficerem, a potem nawet kapitanem, bo wyuczył się czytać i pisać, a został zawsze człekiem zacnym, uczciwym i odważnym. Otóż tak było przez kilka lat, a w tym czasie utworzono w Polsce królestwo, więc wojsko polskie sprowadzono do Warszawy na wielką paradę, a także Komorka z jego kompanią. Otóż na jednej wielkiej mustrze rzeknie najstarszy jenerał do Komorka:

— Panie kapitanie, całe wojsko ciebie szanuje i kocha, bo jesteś bardzo walecznym i dzielnym żołnierzem. Otóż w nagrodę jeszcze jedną rzecz radbym uczynić dla ciebie, to jest abyś został szlachcicem i nie nazywał się Komorkiem ale panem Komorowskim.

Na to powie kapitan Komorek:

— Dziękuję panu jenerałowi, ale już ja chcę na zawsze zostać Komorkiem, a to dla przykładu drugim, iż w Polsce każden człek choćby najbiedniejszy może zostać panem i starszym. Ja zarobiłem na to, więc nie wstydzę się mojego imienia, a także nie chcę, aby się tem szczycił Komorowski, na co sobie zasłużył Komorek.

Wszyscy chwalili bardzo taką mowę pana kapitana Komorka, i szanowali go od tego czasu jeszcze więcej. Żył więc także Komorek długo i Bóg mu błogosławił, bo Bóg zawsze błogosławi ludzi uczciwych, którzy się nie wstydzą swojego rodu i swoich rodziców. Najwięksi panowie bratali się z nim,

i każdy miał to sobie za wielki honor, jeżeli Komorek był dla niego przyjacielem.

— Pamiętajcie więc dziatki moje — kończył tatuś opowiadanie — iż w Polsce ludzie zawsze szanować umieli zacnych i zasłużonych, że tam każdy miał sposób zostać i największym nawet panem, jeżeli miał po temu rozum i zdatność. A gdzie takie prawa są, tam widać że jest w narodzie dobra zgoda i miłość, że bogatszy ubogim nie pogardzi, i że nikomu krzywda się nie dzieje. Gdyby tak nie było, toby żaden biedaczyna nie mógł wyjść na lepszego. Tymczasem widzicie, że każden mógł zostać najznaczniejszym, jak tylko na to sobie zasłużył. Opowiedziałem wam dziś jeden taki przykład, a opowiem wam jeszcze więcej inną razą, abyście już dokumentnie przekonali się o prawdzie.

---

# Śpiewka dziewczyny na wiosnę.

---

Jużeś przyszła zielona wiosenko,
Witajże nam kochana panienko,
Witajże nam dąbrowo zielona
I ty witaj ptaszyno spłoszona!

Słońce pali gorące jak w żniwa,
A toć rzadko na wiosnę tak bywa,
Hej słoneczko! co stało się tobie,
Czemu przypiekasz jak w letniej dobie?

A słoneczko odpowie: Bóg kazał
Aby chłopców szron zimny nie zmrażał,
Co to wyszli na kośbę do lasu
I nie mają ogrzewać się czasu.

Hej dąbrowo zielona, kochana!
A coś dzisiaj ty taka stroskana,
Czy ci drwale gałązki wnet utną,
Żeś listeczki zwiesiła tak smutno?

A dąbrowa: dziś szumieć nie można,
Trza chłopakom uważać z ostrożna,

Bo poganin im zdradę nasadza,
A szumienie słuchaniu przeszkadza.

Hej słowiczku kochanie! cóż tobie?
Takiś smutny jak brzózka na grobie,
A dyć dzióbek nie gniotą obroże,
Więc i czemu nie śpiewasz nieboże?

Cicho dziewcze — zaszepcze ptaszyna —
A któż dzisiaj śpiewanie zaczyna,
Kiedy nasze chłopaki zgłodniałe,
Bo nie jedli już doby trzy całe.

O mój Boże! o toć ja polecę
I wnet ognia w kominie naniecę,
Straw nawarzę, przyniosę im sama,
Czy tak dobrze ptaszyno kochana?

Ano dobrze dziewczyno, a żywo,
Bo już kosy ostrzyli na żniwo,
A jak dosyć nakoszą M.....
Będziem sobie wesoło śpiewali.

---

# Czary.

---

O niczem innem nie słychać było w Taszanowie, jeno o chrzcinach u wójta, boć i jakże niema być o nich głośno, kiedy to chrzciny jakich mało na świecie! Dwanaście par kumów trzymało dziecię wójtowe do chrztu; na samym przedzie w pierwszej parze był pan z panią, a potem rzędem następywali włościanie.

Toć po chrzcie takim wielce był uradowany wójt taszanowiecki i dlatego chciał wesoło obchodzić dzień cały.

Nawet sprowadził z miasteczka Jankiela — a trzeba wam wiedzieć, że to muzyk nielada, jakci pociągnie smyczkiem po strónie, toć nogi same rwą się do tańca; a do tego sprosił do siebie dużo gospodarzy i huk młodzieży.

Jakci tylko Jankiel począł ciąć swoją sztukę, jęli się młodzi ochoczo do tańca — zaczęto krakowiakiem, a każdy chłopak przyśpiewywał swojej dziewczynie. Raźno brzęczały podkóweczki,

że aż w całej dudniło izbie, i najpoważniejszemu zrobiło się wesoło, kiedy spojrzał na ten taniec ochoczy.

Starsi gospodarze obsiedli sobie znowu w drugiej izbie ławy i wiedli poważną gawędę o przeróżnych rzeczach, a od czasu do czasu wymykał się z nich niejeden, i z ubocza przypatrywał się ochocie tańczącej młodzieży.

Właśnie co tylko zakończył Jankiel krakowiaka i muzykanci zaczęli przygotowywać się do nowej gry, kiedy raptem otworzyły się drzwi i do chaty weszedł pan Michał.

Nie myślcie wcale, żeby to był pan jaki. Gdzietam, był on sobie tylko uczciwym pisarzem przy dworze, a że ludzie zwali go panem Michałem, toć dlatego i ja go tak nazywam. Pan Michał był sobie człek bardzo dobrego serca, nikim z niższego stanu nie gardził, ani też nad nikogo się nie wywyższał, owszem miłował on poczciwych kmieci i w wielkiej żył z nimi zgodzie. Do tego wszystkiego byłci on młody i przystojny, więc nie dziw że dziewczęta mile nań spoglądały. Ale on jednej oddał tylko serce swoje, jedną tylko kochał Marynkę, która była przy dworze w służbie u pani.

Kiedy pan Michał wszedł do chaty, jęli go wszyscy witać radośnie, a nawet wójt wyszedł naprzeciw niemu dla przywitania.

— Rozgośćcie się panie Michale — mówił on do pisarza — czem chata bogata tem rada.

— Dziękuję wam serdecznie — odrzekł Michał wójtowi — nie frasujcie się o mnie wcale, już ja się tu dobrze zabawię.

— Hej panie Jankiel — wołał Jonek syn Bartosza — zagrajcież znowu skocznego krakowiaka.

Wkrótce odezwała się muzyka, a Jonek ująwszy Michała za rękę przeprowadził go na drugą stronę izby, gdzie na ławie odpoczywały dziewczęta. Była tutaj także czarnobrewka Marynka, której pani pozwoliła dzisiaj się uczciwie zabawić u wójta.

— Tu jest wasza! — rzecze Jonek do pisarza. Pan Michał nie czekał długo, jeno ujął prędzej do tańca Marynkę i w pierwszej parze wiódł z nią krakowiaka.

Kiedy parę razy w koło przetańczono, zaśpiewał pan Michał do Marynki:

Czegóż ciągle patrzysz w ziemię — na dół spuszczasz oczy,
Kiedy do cię serce moje mało nie wyskoczy —
Śpiewa sobie na gałęzi słowik w ciemnym borze,
A me serce strasznie puka — biedne pęknąć może.

Marynka zarumieniła się jeszcze bardziej, i wciąż na dół patrzała, aleć pisarz nie ustawał, jeno ciągle tańcząc przyśpiewywał jej dalej.

Kiedy się już wszyscy dobrze nahasali, zaczęto się pomału rozchodzić do domu, i nikt nie mógł zapomnąć tej zabawy, tak wszyśtkim przypadła do serca, luboć w całej chacie ani kieliszka wódki nie było. Długie też czasy rozpowiadali sobie ludzie o tych chrzcinach u wójta.

Na drugi dzień rano, kiedy pani wysłała Marynkę do jakiejś roboty do oficyn, które opodal dworu stały, na podwórzu zszedł się z nią tutaj p. Michał znowu; dziewcze było czegoś smutne i zamyślone, snać coś musiało trapić jej serce.

— Czemuż ty taka smutna? — zapytał ją kochanek.

— I wy jeszcze pytacie panie Michale — odrzekła dziewczyna — wzięliście mi serce, toć i nie dziw teraz, iż się smucę.

— Po cóż się smucić, kiedy jutro pójdę do państwa prosić o pozwolenie, a jak Bóg da doczekać niedzieli, dam xiędzu proboszczowi na zapowiedzi.

— Ej panie Michale — mówiła Marynka smutnym głosem — kto tam wie czy państwo pozwolą, ja zwyczajnie jestem sobie prostą dziewczyną, może to oni wyszukają dla was jaką inną.

— Co ci też znowu do głowy wlazło?! A dlaczegóżby miał nam kto wzbraniać miłości, i zkądże przyszłoby państwu do głowy swatać mnie z kimsić tu inszym.

— Taki ja nie mam wiele nadziei — rzekła ona wzdychając.

— Bądź dobrej myśli i czekaj cierpliwie do jutra, a ja ci ręczę, że wszystko dobrze pójdzie.

Po tych słowach odszedł pisarz w swoją stronę, a Marynka wciąż się smuciła. Myślała ona ciągle o Michale — boć szczerze go kochała i zdawało jej się, że kiedy pani dowie się o tej miłości, nietylko że nie da jej pozwolenia, ale jeszcze z góry nabierze, iż śmie sobie z pisarzem zaczynać.

Toć kiedy ona sobie tak myśli i rozważa przy swojej robocie, przychodzi nagle do niej stara Kowałycha.

Stara Kowałycha, jak ją wszyscy zwali — złemi trudniła się rzeczami, niby to wydawała się za lekarkę, aleć żadnych leków nie używała przy chorych, jeno odmawianiem, rzucaniem węgli na wodę i innemi guślarskiemi sposobami tumaniła ludzi; przytem trudniła się jeszcze wróżbiarstwem i innem *wyczynianiem*. Jużci, że nie wszyscy w te czary wierzyli, i dużo było takich, którzy dobrze byli przekonani, iż ona tylko ludzi tumani, toć znowu z drugiej strony było i takich głupich wiele, którzy w to wszystko wierzyli. Rzadko bardzo pokazywała się we dworze stara Kowałycha, boć pani nie mogła zcierpieć podobnych banciarek i brzydziła się wielce jej oszustwem. Dziś także przyszła ona potajemnie, przywołana do jednego dworskiego parobka, który się trochę rozniemógł. Owóż, kiedy ci tak niespodzianie naszła na Marynkę, zapytała ją zaraz:

— A czego ty taka smutna?

— To wy! — odrzekła z wstrętem dziewczyna — a wy tu co robicie?

— Co ja tu robię?... Mam potrzebę do dworu, ale co tam komu na tem; powiedz ty mi czegoś taka zasmucona?

— Wam się tylko tak zdaje — odrzekła dziewczyna chcąc się jej pozbyć.

— Ej Marynko przyznaj się — ty kochasz pisarza.

— A wy zkąd wiecie? — odrzekła znowu dziewczyna i zarumieniła się cała jak burak, dziwno jej było zkąd ona to wie, luboć wcale nic dziwnego w tem nie było, boć wszyscy o tem gadali.

— No... no... nie masz się czego rumienić — ciągnęła dalej Kowałycha — niema w tem nic złego, jeno przyznaj mi się, co ci tak jak młyński kamień leży na sercu.

— Ej nie!

— Zkąd nie! myślisz, że ja nic nie wiem hę? a może kto wam w drodze stoi — i rzekłszy to wpatrzyła się w Marynkę i potem tak dalej mówiła domyślawszy się nieco:

— Co?... czy może nie państwo?

— A wy to zkąd wiecie? — wykrzyknęła rozciekawiona dziewczyna.

— Ten paluszek — rzekła manciarka wskazując na mały palec lewej ręki — ten paluszek wszystko mi mówi.

— A więc wiecie także, że p. Michał chce państwa prosić jutro o pozwolenie.

— Jużci, że wiem.

— Aleć ja się smucę, bo mało mam nadziei, może nie dostaniem pozwolenia.

— Ja ci ręczę, że nic z tego nie będzie!

— Nic z tego nie będzie! — z wielkim zawołała żalem.

— Jeżeli mojej rady posłuchasz, toć wszystko dobrze być musi, lecz inaczej nic z tego nie będzie.

— A czemuż bym nie miała was posłuchać.

— Otóż ja ci dam jedną rzecz — mówiła Kowałycha i w tej chwili wyjęła z za pazuchy coś w chuście zawiniętego i tak rzecze do Marynki:

— Widzisz to ziele? otóż kiedy będziesz ścielić państwu łóżka, włóż połowę pani a drugą połowę panu pod poduszkę na noc. Ziele to zowie się „Lubczyk“, a skoro się kto na niem prześpi, toć pewno go tak otumani, że tobie w drodze nie stanie, jeno owszem, kiedy się państwo na niem prześpią, polubią ciebie jak córkę i wszystko dobrze pójdzie.

— Kiedyż ja się boję — mówiła dziewczyna.

— Kiedy tak to i ja ci nic nie poradzę. Lecz w tej chwili szepnął Marynce do ucha duch zły: Weź ziele! i obałamucona dziewczyna wzięła je i uczyniła wedle rady Kowałychy.

Nazajutrz, kiedy się pani zebrała, dziwiła się mocno, że jakaś woń silna nie dawała jej spać przez noc całą — toż samo było i u pana. Zaczęto więc szukać i znaleziono pod poduszką ohydne zielsko. Luboć państwo nie wierzyło w żadne czary, toć przecie chcieli odkryć zbłąkaną owcę, ażeby ją na dobrą nawrócić drogę. Największe podejrzenie padło oczywiście na Marynkę, która wczoraj ścieliła łóżka — przywołała ją więc pani do siebie i poczęła wypytywać. Marynka jak nie żywa wyznała przed panią wszystko i przyznała się do winy, a potem zalana łzami błagała o przebaczenie.

— Ostatni to raz Wielmożna Pani — lecz płacz nie dał jej skończyć.

Pani poruszona szczerym żalem przebaczyła jej tę płochość i tak w końcu jej rzecze:

— Czyż i teraz jeszcze wierzysz w czary, które, jeśliby w rzeczy samej jakąś moc utajoną posiadały, nie byłyby mi jak wróbel do klatki do rąk padły. Niechaj ci to będzie nauką na całe życie, a teraz nie masz czego płakać, bo jabym i bez tych czarów nie była tobie w drodze stała, bo jużci nikomu szczęścia nie zagradzałam.

I długo jeszcze nauczała pani Marynkę, która przez cały czas rzewnie z żalu płakała.

Kiedy się o tem wszystkiem Michał dowiedział, nie chodził on już prosić państwa o pozwolenie, jeno wyrzekł się Marynki, boć jak z jednej strony miłował on szczerą prostotę, tak znowu z drugiej brzydził się strasznie ohydnym przesądem.

Płakałaż teraz biedna dziewczyna całemi tygodniami i oczy jej od wielkiego płaczu zczerwieniały jak buraki. Dopiero w kilka miesięcy, kiedy się Michał przekonał że się Marynka na prawdę poprawiła, poprosił o nią państwa i ożenił się. Wesele było bardzo sute, i państwo nie żałowali wydatku dla młodych, bo uczciwością i pracowitością zasłużyli sobie na to. Marynka jest dziś najrozsądniejszą kobietą w całej wsi i najlepszą żoną, a ze swojej dawnej zabobonności wyśmiewa się i opowiada ludziom a najbardziej młodym dziewczętom na przykład i na naukę.

*Grzela z Waszkowiec.*

---

# Piękne przykłady.

---

## TOMASZ SZLOMCZUK.

W obwodzie kołomyjskim jest wieś Potoczyska, a w niej mieszkał niedawno jeszcze wieśniak pewien zacny, Tomasz Szlomczuk, którego taka jest historya.

Tomasz jest już dziś setnie stary człek, bo urodził się jeszcze za polskich czasów, więc jest temu bez mała ośmdziesiąt

lat. Rodzice jego byli ludzie zacni ale ubodzy, więc wychowywał się Tomasz więcej przy xiędzu plebanie jak przy rodzicach. Kiedy miał lat dziewiętnaście, ożenił się z córką gospodarską, i zaczął na własnem pracować. I tak prawie z niczego zacząwszy, dorobili się Szlomczukowie niebawem znacznego majątku. Pan Bóg błogosławił ich pilności i oszczędności, a naostatek zesłał na nich największe błogosławieństwo, bo czworo ładnych dziatek.

Jużci był teraz Szlomczuk człek szczęśliwy jak rzadko. Kto ma czyste sumienie, kto własną pracą dochował się majątku pięknego i kogo Bóg pobłogosławił dziećmi, to już z pewnością człek szczęśliwy.

Ale szczęście ludzkie nigdy nie jest pewne i trwałe. Pan Bóg nieraz najpoczciwszych ludzi zasmuca, aby się przekonać, czy też oni nie porzucą swojej cnoty, i czy z jednaką wdzięcznością przyjmą od Boga nieszczęście jak przyjmowali błogosławieństwo.

Tak było ze Szlomczukiem. Dziesięć lat żył on szczęśliwy pośród dobrej żony i dzieci, aż tu nagle spada jedno nieszczęście za drugiem. Pan Bóg zabrał mu najpierw dzieci, a z wielkiego żalu i rozpaczy za niemi umarła w tym samym roku także żona Szlomczuka.

Biedny Tomasz, popłakawszy na świeżych grobach, pomyślał sobie, że to pewnie gniew Pana Boga za grzech jakiś ciężki, którego on sobie nie przypominał nawet. Otóż na przebłaganie tego gniewu czynił różne pokuty, i część majątku swojego rozdał między ubogich. Przez kilka lat wszystką młodzież swojego bydełka darowywał podupadłym wieśniakom w Potoczyskach i sąsiedztwie, a tym sposobem rozdał więcej jak pięćdziesiąt sztuk. Ofiara ta pomogła, bo wnet uczuł się Szlomczuk spokojniejszym i weselszym na duszy, a także uspokoił się jego ciężki żal za dziećmi i żoną.

Wiecie dobrze moi mili ludzie, jak to ciężko człekowi koło gospodarstwa bez żony, jak to sobie samemu w żaden sposób rady dać nie można. Chcąc niechcąc trzeba szukać żony, choćby człek wcale nie miał ochoty do żeniaczki. Tak się stało Szlomczukowi, i w kilka lat po śmierci pierwszej żony ożenił się znowu. Jednakowoż nie doczekał się już nigdy dziatek.

I znowu sobie myślał Tomasz, że kiedy mu Bóg nie dał własnych dzieci, to on powinien starać się o cudze. Dawniej zawsze on sobie myślał, że jak jego dzieci podrosną, to da je uczyć na chwałę Bożą i na pożytek ludzki — więc i teraz postanowił sobie dopomódz cudzym dziatkom do nauki. Na ten koniec ofiarował na wyfundowanie szkółki w Potoczyskach 8 morgów ornego pola, 1 morg owocowego ogrodu, 3 pnie pszczół i 20 próżnych ulów, 10 matek owiec, krowę z cielęciem i 21 reńskich nowych na kupienie xiążek dla biednych dzieci. Także wybudował przy ogrodzie owocowym chatkę dla stróża, aby nauczyciel szkody nie miał.

Widzicie jaki to musiał być człek bogaty, kiedy taki znaczny majątek mógł darować na szkołę. Zaś na tem nie koniec, bo od tego czasu przez całe pobożne życie czynił ciągle Tomasz Szlomczuk różne ofiary, a te wszystkie wypisuję ja wam tutaj na dobry przykład i na wieczną pamiątkę jego zacności.

Tak do cerkwi potoczyskiej uczynił Tomasz Szlomczuk te ofiary:

1) Kupił dzwon duży za 735 reńskich nowych.
2) Na pobicie dachu ofiarował 12,000 gont i potrzebne gontale.
3) Na około dachu cerkwi sprawił blaszane rynny.
4) Na odnowienie wielkiego ołtarza dał 441 reńskich.
5) Kupił 12 jarzących pochodni i 12 grubych kilkafuntowych świec za 157 reńskich.
6) Pająk metalowy posrebrzany kupił za 126 reńskich.
7) Sprawił 3 ornaty do cerkwi za 60 reńskich.
8) Wystawił własnym kosztem figurę przed cerkwią, wartości 100 reńskich.
9) wystawił 13 kamiennych krzyżów około dróg pola potoczyskiego, co go kosztowało 130 reńskich.
10) posprawiał piękne malowidła do cerkwi.
11) Obydwa cmentarze opasał murem, płacąc murarzom po reńskiemu i 5 centów od sążnia z własnych pieniędzy.
12) Kupił piękny pozłacany krzyż metalowy na wielki ołtarz.
13) Za mszał zapłacił 12 reńskich.

Zaś do kapliczki w Gropanach na Bukowinie darował: metalowy kielich z patyną pozłacane, kadzielnicę, parę lichtarzów metalowych razem ze świecami, dzwonek do ołtarza, ornat, albę, i inną bieliznę kościelną.

A do cerkiewki Chmielowskiej w parafii Czernilickiej sprawił: dzwon za 100 reńskich, sygnaturkę, metalowy kielich z patyną pozłacane, ornat, albę, światło i kilka obrazów.

Co zaś jałmużny wydał w życiu i zapomóg różnym biedakom, toby można o tem całe xięgi spisywać. Niechże mu Pan Bóg wynagrodzi tę zacność i pobożność.

## Pobożny kmieć Słowik.

Muszę wam tu opowiedzieć o pobożnym chłopku, abyście uważali, że człek pobożny to w każdem miejscu znajdzie sposobność rozszerzenia chwały Boskiej.

Otóż tu jest niedaleko Myślenic we wsi Stróża jeden pobożny gospodarz, zowie się Jakób Słowik. Tak ci ten pobożny Słowik chodząc często do naszych ślicznych kościołów do Krakowa, dowiedział się, że w kościele śgo Piotra jest odnowione bardzo starodawne bractwo Śtej Trójcy, do którego się pobożni ludzie wpisują, a które to bractwo ma wielkie odpusty od samego Rzymu nadane.

Wpisał on się do razu do tego bractwa, ale dla jego pobożnego serca było to za mało, że tylko on się sam wpisał. Jął ci więc przemyśliwać, jakby tu to bractwo rozszerzyć a osobliwie jakoby do swojej wsi sprowadzić?

No, i jak począł za tem chodzić, i ludzi namawiać, i jak się więcej do tego przyłączyło, tak doprowadził do tego, że mu z kościoła śgo Piotra wydali za to taką urzędową xiążkę, i zrobili go w tej wsi, w *Stróży*, Promotorem tego bractwa, i już wpisał do niego 280 ludzi, którzy co Niedzielę w parafijalnym kościele śpiewają koronkę Śtej Trójcy, i inne nabożeństwa tego bractwa odbywają.

A że ten Słowik lubi także bardzo różne pożyteczne xiążki czytać, jako że już jest człek ciekawy do wszystkiego, to mówię

czesto gęsto do mnie po xiążki przychodzi, tak że mnie jednego dnia prosił, abym się do tego bractwa Śtej Trójcy wpisała, co ja też z wielką radością i ochotą uczyniła, bo cóż może być milszego dla człowieka, jak wszelkiemi sposobami Pana Boga chwalić.

Ale wpisawszy się do tego bractwa, tak sobie zaraz w swojej duszy postanowiłam, że wam wszystkim o tym pobożnym Słowiku opiszę, aby was drodzy ludkowie zachęcić, abyście i po swoich wsiach to bractwo Śtej Trójcy rozszerzali, a przyniesie ono wam wielkie łaski z nieba.

Bo, jeżeli kiedy, to dziś modlić wam się gorąco o łaskę Boga trzeba, aby Pan Jezus i nas pocieszył, i tamtych biednych braci naszych wspierał, i swoją potęgą ratował.

A najwięcej uprosimy sobie, modląc się wspólnie, i prosząc o wszystko w Imie Trójcy Świętej.

Ten Słowik, to taki pobożny i taki żądny chwały Boga, a oraz przywiązany do ojczystych rzeczy, że jak jeno przeczytał w tegoczesnej kolędzie o tysiącletniej pamiątce i rocznicy zaprowadzenia u nas wiary ś. chrześciańskiej, to do razu chciał ze swojem bractwem na uczczenie tej rocznicy najprzód tu w Myślenicach to nabożeństwo zrobić; ale że na to nie ma jeszcze rozporządzenia od Biskupa, a tak ci tu w parafij, nie mogli takiego nabożeństwa odprawiać — aż przyjdzie czas ku temu.

Bądźcież więc łaskawi panie Redaktorze, tę rzecz o tym pobożnym gospodarzu w waszym Dzwonku wydrukować, o co was pięknie proszę.

*Ludka z Myślenic.*

# RÓŻNOŚCI.

*Cudowny ratunek.* Jest tu u nas we Lwowie klasztór Sióstr Miłosierdzia, a przy nim studnia okrótnie głęboka, bo aż na 18 sążni. Otóż niedawno popsuła się ona, i trza było naprawić ją. Pewien cieśla z pomocnikiem zaczęli ją naprawiać, a to było jeszcze przy końcu kwietnia. W poniedziałek 27 kwietnia, kiedy obaj pracowali w studni, usunęły się źle ocembrowane

ściany, i ziemia zasypała obudwóch. Dano znać o tem nieszczęściu do urzędu miejskiego, i zaraz jęli się do roboty aby ich ratować. Kopią i kopią, a tu ani rusz doszukać się czego. Widzi pan przełożony że trudna rada, więc sprowadza z Kałusza jednego hutmana i dwóch górników, którzy dopiero wieczorem we czwartek do Lwowa przyjechali. Otóż na drugi dzień zrana biorą się do roboty, i znowu przez cały dzień szukają nadaremnie, więc i w sobotę cały dzień kopią, także nadaremnie. Dopiero w sobotę wieczorem już o zmierzchu znajdują obudwu zasypanych cieśli, i to obu żywych. No patrzcież moi mili, czy też to nie dziwny i cudowny prawie ratunek! Kiedy się studnia zawaliła, belki cembrzyny usunęły się tak, że nad ich głowami dach uczyniły, na którym się ziemia oparła. Siedzieli oni pod tym dachem na rusztowaniu, a pod nimi na 10 sążni głęboko była woda. W tym także czasie podniosła się woda i doszła aż pod samo rusztowanie, więc obaj nieszczęśliwi myli się nią i nacierali sobie skronie, jak ich tylko mdleć zaczynało. Siedzieli oni tak 6 dni i 6 nocy, prawie bez posiłku, bo nie mieli ze sobą jeno nieco chleba i trochę wódki. Więc jak już im strasznie głód dokuczył, to jedli po kawałeczku chleba i pili po kilka kropel wódki. Jeden z nich człek starszy, miał tyle przytomności, że kiedy ich odgrzebano, pomógł wyciągnąć swego towarzysza, a potem dopiero sam się ratował. Oddano ich do szpitalu, bo bardzo byli pomęczeni, ale już zda mi się wyszli obaj całkiem zdrowi.

*Smutny wypadek.* W Samborze na przedmieściu u gospodarza Jędrzeja Paluchy stał się 14 kwietnia taki smutny wypadek. W chałupie Jędrzeja pali się zawsze wieczorem lampka naftowa, i jużci to dobrze, bo takie światło dobre a bardzo tanie, i może je mieć lada chudzina. Jeno trzeba z tą naftą bardzo uważać i bardzo ostrożnie się obchodzić. Otóż i owego dnia paliła się tam lampka, a iż było w niej mało nafty, chciała Paluchowa więcej dolać, i uczyniła to nieostrożnie. Wyjęła z lampy knot palący i kazała trzymać go swemu synowi Jakóbowi, zaś sama leje naftę do lampki. Nieszczęściem zajęła się nafta i wnet pękła flaszka, a nafta oblała Jakóba, na którym zaczęła się palić odzież okrótnie. Paluchowa leje na niego wodę, a tym sposobem jeszcze bardziej pali się ogień, bo najgorzej i najniebezpieczniej gasić naftę wodą. Zaczną więc krzyczeć oboje, a na to nadbiegł Paluch sam, okrył Jakóba kożuchem, i tym sposobem ogień przytłumił. Biedny Jakób poparzył się okrótnie, a choć zaraz sprowadzili doktora, umarł on na drugi dzień z popalenia. Pamiętajcież więc mieć ostrożność z naftą a gdyby się broń Boże zdarzył komu taki wypadek, to ogień gasić trzeba nie wodą ale przytłumieniem, narzucaniem różnej odzieży, bo tak tylko ugaśnie prędko.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: E. Winiarz.